

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Widziałem najdokładniej cały łeb i rogi... (str. 412).

Hieronim Wespazyan Kochowski

przez profesora

R. PLENKIEWICZA.

(1633—1699)

Wiek XVII jest epoką, z którą w historii naszej literatury obchodzono się, jak na wielkich dworach z bratem szlachcicem, którego, przy bogato w górze zastawionych stołach, sadzano na szarym końcu. Pozostawała ona w cie-

niu przy innych, wspaniale rozwiniętych okresach. Przyczyną tego była główna jej cecha: upadek nauk i smaku, oraz skażenie języka. Zwolna, po głębszym zbadaniu wielu utworów, pochodzących z tych czasów, przekonano się, że nie wszystko było tu miedzią, że owszem, nie z jednego z nich przebłyskiwało złoto czystego natchnienia i poezji. Najdłużej zapoznawano Hieronima Wespazyana Kochowskiego. Taki nawet znakomity poeta i krytyk, jak Kazimierz Brodziński, odmówił mu w swych wykładach literatury polskiej prawie wszelkiej wartości. Mickiewicz zaś w słynnym kursie literatury ludów słowiańskich, mówiąc

o pisarzach XVII stulecia, zupełnie o nim przemilezał, nie przeczuwając, że ów Kochowski, w jednym z swych utworów jest mu zarówno idea, jak i formą pokrewny. To też tem większy ciężar na nas obowiązek, byśmy w dwóchsetną rocznicę jego zgonu, jaka w tym roku przypada, złożyli należny hołd jego pamięci i uprzytomnili sobie jego zasługi.

Kochowski należał do rodu, zdawna osiadłego w ziemi Sandomierskiej, w okolicy położonej u podnóża gór S-to Krzyskich, którego gniazdem był naprzód Sarnów, następnie Kochów. Z linii, rozrodzonej w tej ostatniej miejscowości, pochodził nasz poeta. Ojciec jego Jan, h. Nieczuja, po śmierci Władysława IV, wybrany marszałkiem sądów kapturowych, był członkiem, używającym wielkiego poważania wśród szlachty. Zamiłowany w naukach, pamiętał o wykształceniu synów, których miał czterech. Z nich najstarszy Hieronim-Wespazyan, urodził się w r. 1633 we wsi Gaju. Tu on spędził wiek dziecinny w otoczeniu uroczej górskiej natury, do której nieraz tęskną myślą w późniejszym życiu nawracał. Po ukończeniu szkoły jezuickiej w Sandomierzu, wysłany został przez ojca na Akademię krakowską, ale jej nie mógł ukończyć. Wojna kozacka, oderwała go od studyów i w bardzo młodym wieku powiodła na pole krwawych zapasów.

Ośmnastoletni młodzian w r. 1651 bierze udział w bitwie pod Beresteczkiem. Z nastaniem wojny szwedzkiej również nie zalega pola. Walczy w pułkach Czarnieckiego pod Warką i Gniczmem, gdzie, ranny od dwóch postrzałów, o mało życia nie stracił. Jakże w tej wojnie przechodził dalsze koleje? Nie wiadomo. Sam wyznaje, iż lat 10 przeżył w obozach. Po zawarciu pokoju Oliwskiego w r. 1660 wrócił do rodzinnego Gaju, ale tu po trzech latach wycieńczenia, spadły nań smutki i kłopoty. W r. 1663 ojciec jego życia dokonał i bracia postanowili podzielić się pozostałym majątkiem, i oto — poeta, jako nastarszy, według prawa koronnego, musiał ustąpić najmłodszemu bratu, Franciszkowi, z rodzinnego gniazda i osiedlić się w innym majątku, w województwie krakowskim, niedaleko Szczekocin, w okolicy pełnej sępów i jednostajnych lasów, w Goleniowie. Żalność z tego powodu wypowiedział w prześlicznym wierszu: *Pożegnanie*:

Ojczyście Gaju! który w tym kraju
 Masz swoje pochwały! ¹⁾
 Dziedzictwo mierne, lecz panu wierne,
 Spłachcin ²⁾ cnoty stały!
 Tu ojciec z dziady, krewnych gromady,
 I mali wnukowie
 Dzieciństwa doszli i w zgodzie rośli
 I rzy swej starszej głowie.
 Ale mój Boże, cóż to pomoże,
 Ze słowy żal tulę?
 Gdzie każesz idę, by za Baltydę
 I odległą Thulę ³⁾
 Gdy Twa jest wola, aby mię rola
 I szmat tak bagnisty
 Miał, niech się dzieje: Goleniów, knieje,
 Spłachcin mój ojczyście!
 Witam cię cale — a ty już *vale* ⁴⁾
 Miej ode mnie, Gaju!
 Będzie tęskniło serce, gdzie miło,
 Jak dusza do rajy.

Nie osiedził się jednak poeta w Goleniowie spokojnie. W r. 1666 przeciw Janowi Kazimierzowi podniósł rokosz Jerzy Lubomirski z powodu, iż Marya Ludwika chciała w Polsce zapewnić tron ks. Kondeuszowi, lub synowi jego ks. d'Enghien; Lubomirski sprzeciwił się tym projektom; stąd ściągnął na siebie gniew królowej, króla i możnowładców, sprzyjających kandydaturze Francuza. Oddanie Sobieskiemu buławy polnej, którą Lubomirski miał sobie przyrzeczoną, odsądzenie go na sejmie od majątku, czi i skazanie na gardło, dokonało reszty. Dumny magnat stanął na czele szlachty, ujmującej się za jego krzywdy i pod Mątawami stoczył z Janem Kazimierzem bitwę, z której wyszedł zwycięsko. W niej też brał udział przeciw królowi i Kochowski, a nadto w obronie pokrzywdzonego napisał utwór, który po abdykacji Jana Kazimierza w r. 1668, wyszedł z druku pod tytułem: „Kamień świadectwa wielkiego w koronie polskiej senatora niewinności.”

Gdy do nowej przyszło elekcyi i możnowładcy zaczęli znów kandydata cudzoziemskiego popierać, Kochowski, trzymając z ogółem szlachty, stanął przy Piaście i w powołaniu Michała Wiszniowieckiego na tron święcił tryumf odniesionego nad nimi zwycięstwa. Bezwątpienia należeć musiał i do konfederacyi zawiązanej w Gołębiu, a mającej na celu popieranie króla przeciw zamachom niechętnych mu panów; skoro na sejmiku w Proszowicach bronił im szablą dostępu do drzwi kościelnych, powiewał chcieli na nim podpisać detronizacyą Michała.

Ta gorliwość w popieraniu króla i wiersz napisany na cześć jego zjednały mu godność sekretarza królewskiego i urząd podżupnika w Wieliczce. W tym czasie poeta się ożenił. Ze złudzeń jednak, w jakich zostawał co do osobistości Michała, wkrótce wyleczył go smutny pokój Buczacki i oddanie Turkom Kamieńca. Z tem gorętszem uwielbieniem zwraca się do Sobieskiego, gdy ten zasiada na tronie polskim.

Król ten rzeczywiście ziścił jego ideał: Piasta-rycerza, drugiego Godfreda, pogromcy islamizmu. Dwa pane-giryki: *Piast za łaską Bożą* oraz *Królewska na tron droga* są wyrazem uwielbienia, jakim poeta przejęty był dla nowego wybrańca narodu.

Kochowski uosabiał w sobie przymioty i wady szlachcie wieku XVII właściwe. Religijny do ascetyzmu, kochał kraj i pragnął jego chwały, wielkości; a jednak nie rozumiał, że stronnice waśnie i rokosze wzniecane pod pięknie brzmiącymi hasłami, podkopują w najgłębszych podwalinach jego budowę. To pewna, że w swych pobudkach był czysty, że działał pod wpływem uniesienia, zapału. Miał w sobie coś ze średniowiecznego rycerza i te przymioty głównie uwielbiał w królu bohaterze. Śmiało też można powiedzieć, że talent jego poetycki rośnie, potężnieje z bohaterstwiemi czyny samego króla. Już on przed jego wstąpieniem na tron znany był z kilku dzieł, ogłoszonych drukiem, zarówno w polskim, jak i łacińskim języku. Najpo-czytniejszem z nich był zbiór liryków, czyli pieśni, wydanych pod nieco dziwacznym tytułem: „Niepróżnujące próżnowanie.” Ale było to cechą ówczesnie psującego się smaku, że właśnie w takich podobano sobie najwięcej. Kochowski ulegał tej wadzie, lecz jeszcze zapatrzony na piękność poezyi XVI wieku, okupował ją szczerością uczu-

¹⁾ Słyniesz z piękności. ²⁾ spłachcieć—szmat ziemi. ³⁾ Podług starożytnych, najdalszy kraniec ziemi—Islandya. ⁴⁾ Pożegnanie.

cia i szerokim na sprawy współczesne poglądem. Nie było też ważniejszego wypadku, któregooby on nie opiewał na wielostronnej swej lutni. Zarówno klęski, jak zwycięstwa znajdowały wierny w niej odgłos. Począwszy od porażki pod Żółtymi wodami, Korsuńskiego pogromu, w którym dwaj hetmani dostali się do niewoli i Pilawickiej ucieczki trzech regimentarzędów, do świetnego nad Chmielnickim pod Beresteczkiem zwycięstwa i wielu innych wypadków—wszystko to, jak w zwierciadle odbija się w tym zbiorze liryków i świadczy o uczuciach obywatelskich poety. Nawet zerwanie sejmu przez Sicińskiego w r. 1652, nie przeszło w jego utworach bez śladu. Co ważniejsza, iż jasno zdaje sobie sprawę z niebywałego dotąd czynu i widzi dokładnie szkodliwe jego następstwa.

Ale w tych pieśniach nie stoi jeszcze na wysokości prawdziwie poetycznego natchnienia. Na ton wyższy nastroi dopiero jego lutnię wyprawa pod Wiedeń i straszny pogrom turecki, którego naocznym był świadkiem. Z tym wypadkiem trzy jego prace w ścisłym pozostają związku: *Komentarz* tej wyprawy po łacinie pisany, poemat zatytułowany: *Dzieła Boskie, albo pieśni wybawionego Wiednia* i na koniec *Psalmodyja polska*.

Komentarz jest zwykłym dziennikiem, w którym zapisywał różne szczegóły wyprawy; Dzieło Boskie, jest jakby początkiem epeji, którą widocznie na wzór Jerozolimy wyzwolonej Tassa zamierzał utworzyć, ale zepsuł osnowę wprowadzeniem mitologii; natomiast Psalmodyja, którą tworzył w różnych epokach życia, naśladując króla-proroka, obejmuje kilka Psalmów, odnoszących się do zwycięstwa pod Wiedniem niezrównanej piękności.

Oto jeden z ustępów, w którym pogrom bisurmanów maluje:

„Dzieło mocy Twej, któreś za dni ich (t. j. Izraelitów) uczynił z Faraonem, też i teraz nieskrócona w cudach, ani osłabiała w potędze, wykonała ręka Twoja. — Ręka Twoja, Panie, nie ludzka, pogany starła; przed nią pyszny Assur (Turczyn) uciekał, który w hardości serca na zgubę naszą przyszedł. — Patrzyło na hardość ich wschodzące słońce, a toż na odwieczerzu widziało sromotnie rozgromionych. Wstydił się miesiąc piętna swego i, ażeby sromotę zakrył, nie chciał świecić w nocy uciekającym. — Prawica Twoja, Panie, za nas wojowała, ręka Twoja Najwyższy nieprzyjaciół zabiła. — Nie nam, Panie, podłemu gminowi, ale Imieniu Twemu świętemu, które cudowne jest, niech będzie od nas chwała, na nieprzeżyte wieki.”

Zarówno Komentarz, jak i Dzieło Boskie zjednały Kochowskiemu nowe względy u króla. Już bowiem przed wyprawą wiedeńską otrzymał on urząd podkomorzego; obecnie spadł na niego nowy zaszczyt: król mianował go swym historyografem i wyznaczył mu 1000 zł. pensyi. Nadto szlachta wybrała go na urząd wojskiego ziemi krakowskiej. Teraz mógł swe stanowisko porównywać ze stanowiskiem Jana Kochanowskiego, który był także wojskim sandomierskim, bo choć jako poeta bezporównania stoi od niego niżej, przecież tak samo jest przedstawicielem swojego czasu, jak tamten XVI stulecia. Głęboko zresztą religijny, wiele utworów poświęcił czci N. Panny, do której naród po obronie Częstochowy w czasie najścia Szwedów, rozgorzał uwielbieniem i miłością. Owocem natchnienia

w tym kierunku był *Różaniec* i *Ogród paniński*. Pisał także Epigramata na wzór *Fraszek* Kochanowskiego.

Prócz tego, Kochowski był historykiem i dzieje współczesne opisywał pod tytułem *Klimaktery*. Wyraz *Climacter* u Rzymian oznaczał lata pełne niebezpieczeństw, a taką właśnie była epoka, której dziejami się zajmuje. Rozpoczyna je bowiem od śmierci Władysława IV, kończy zaś na panowaniu króla Michała. Takich Klimakterów napisał IV. Przy układaniu ostatniego, śmierć go zaskoczyła w r. 1699, a umierając miał tę przynajmniej pociechę, że na 6 miesięcy przedtem, traktatem Karłowickim Kamieniec wrócił do Polski.

W końcu winniśmy zaznaczyć, iż w Goleniowie ufundował szpital dla starców i tym sposobem wśród ludu na długie czasy pamięć po sobie zostawił.

Mój pierwszy rogacz.

Przywożem ze szkół dobre świadectwo i promocję do ósmej klasy. Więc wujostwo, u których na wsi zwykle spędzam wakacje, przysłali po mnie wolant w parę siwków mlubionych, a panna Tekla, stara rezydentka, upiekła jakąś babę mazowiecką, której sekret przechowywała zazdrośnie i sama zawsze przy drzwiach zamkniętych ciasto zarabiała. Wujostwo dzieci nie mieli i uważali mnie poniekąd za syna, a że ten syn dużo im sprawiał kłopotu, więc promocyja do ósmej klasy sprawiła w dworze Zieleniewskim niezwykłą radość. Wuj chodził koło stołu, pykając fajkę, a raz po raz spoglądał na mnie, jakby się chciał przekonać, czy to ja czy nie ja. Droga, pocziwa wujenka, przypatrywała mi się z rozczuleniem i od czasu do czasu rzucała na wuja spojrzenie, jakby mu chciała powiedzieć!

— A widzisz! Chłopak się uda! Nie taki wisus, jak sądziłeś.

Wuj, widocznie zrozumiał to nieme echo jakiegoś nieporozumienia domowego o swego urwisa, bo zatrzymał się nagle w wędrówce około stołu, wytrząsnął popiół z fajki i rzekł niby od niechcenia.

— A toś się spisał, no!... no! Nie myślałem.

Potem znów zaczął chodzić i znów się zatrzymał, mrużąc:

— Żeby ci tylko w ósmej klasie jakie głupstwo do głowy nie strzeliło. Bo ty zawsze przez trzy miesiące w roku masz rozum, a przez dziewięć baki zbijasz.

Nie odpowiedziałem nic. Wstałem i pocałowałem go w rękę.

— No! już dobrze — mruknął. A po chwili dodał:

— Strzelba wyczyszczona. Gilzy, proch i śrót z miasta przywiezione. A możebyś ty dzisiaj chciał iść na zwiadkę? Przydałby się rogacz na imieniny wujenki.

Zgłupiałem. Wuj bowiem pozwalał mi zawsze strzelać kuropatwy, zające, kaczkę, bekasy, ale o sarny był tak zazdrosny, że nie lubił nawet, gdy w pobliżu lasu i zagajników uganiałem się ze strzelbą. Sam odbijał rocznie trzy do czterech najstarszych rogaczy i broń Boże! aby kto inny miał go w ten wyręczyć.

To też łatwo sobie wyobrazić zdziwienie moje. Mam zabić sarnę. Wuj nie tylko pozwala, ale proponuje. To nie do uwierzenia!

A wuj dalej mówił.

— Tylko uważaj, do czego strzelasz. Wieczory teraz jasne i rozpoznać łatwo. Każesz sobie założyć kasztanka do bryczki, weźmiesz gajowego i pojedziecie na Kurczowiznę. Tam pod lasem jest groch i sarny pewne. Wychodzi sześć, ośm, czasem dwanaście sztuk i dwa rogacze. Staraj się odbić większego i mierz w kark, żeby się nie włókł daleko i nie zginął w gąszczach. Gajowy niech stanie z bryczką na drodze około wielkiego dębu i konia, pilnuje.

Uściskałem wuja i zabrałem się spieszenie do robienia naboi, bo wieczór już zapadł i czas było udać się na stanowisko. W mig załatwiłem wszystko, sam pomagałem przy zaprzęganu kasztanka, wskoczyłem na bryczuszkę i puściłem się kłusem ku lasom, wijącym się smugę czarną o dwie wiorsty od Zieleniewa. Jechałem, jak zwykle, bez woźnicy. Dopiero w boru zabrałem gajowego, który niemniej ode mnie zdziwiony był wspaniałomyślnością wuja.



Hieronim Wespazyan Kochowski.

Zostawiwszy go przy koniu o kilkaset kroków od żerowiska saren, posunąłem się skrajem lasu ku miejscu wskazanemu.

Odwiódłem kurki i z twarzą zwróconą ku polu, na którym już groch dojrzewał, stanąłem pod dużym chojakiem.

Mrok zapadł, ale księżycy nie było. Wiatr zaczął jęczeć po lesie i wbrew przepowiedniom wuja, niebo zachmurzyło się groźnie. Czuć było burzę w powietrzu.

Tak upłynęły dwa długie kwadransy, a ja napróżno zatapiałem wzrok w dal mroczną, wypatrując saren na grochu...

Na niebie zaczynało się błyskać.

Straciłem już prawie nadzieję upolowania czegokolwiek tej nocy i zły, zniecierpliwiony, usiadłem na ziemi i położyłem strzelbę przy sobie. W tej chwili jednak o jakie dwieście kroków ukazało się od strony drogi coś niby schylona postać ludzka, która bardzo powoli zbliżała się ku mnie, zatrzymując się ustawicznie. Zacząłem wpatrywać się uważnie, i o ile w ciemnościach rozróżnić mogłem, wydało mi się, że to kobieta wiejska, rwąca po nocy groch na czyjś polu. Chwilami rozpoznawałem dokładnie ruchy rąk i głowy, lecz było tak ciemno, że twarzy dojrzeć nie mo-

głem. To znów przychodziło mi na myśl, że takie rwanie grochu po nocy jest trochę nieprawdopodobne, iż zastanawiałem się, czego ta baba szuka w tem pustkowiu. A może to nie człowiek? Wyteżałem wzrok coraz bardziej, lecz niebo było coraz czarniejsze i choć postać tajemnicza zbliżyła się na 150 kroków, niczego rozróżnić nie mogłem.

Błysnęło. Rogacz! Widziałem najdokładniej cały łeb i rogi. Lecz znowu ciemno. I znowu to „coś” ma ruchy człowieka schylonego nad zbieraniem grochu. Czary czy co? Przetarłem oczy, serce biło mi coraz silniej, bałem się się strzelić, a nie miałem odwagi podejść nieco bliżej, aby nie spłoszyć zwierzęcia i nie chybić go w biegu, po ciemku. Im dłużej się wpatrywałem, tem więcej rosły wątpliwości moje. Postać zbliżyła się na 100, na 80, na 60 kroków, lecz ciemność stała się tak gęsta, że nic rozróżnić nie mogłem. Przytuliłem się do drzewa i czekałem na powtórny błyskawicę.

Błysnęło nareszcie! Rogacz! Teraz już widziałem doskonale, widziałem całe żerujące zwierzę. Więc gdy po blasku oślepiającym oczy znów przyzwyczyły się do ciemności i gdy znów w mrokach śledzić mogłem ruchy rogacza, podniosłem strzelbę do strzału. O prawidłowem celowaniu mowy być nie mogło! Mierzyłem mniej więcej, nie widząc prawie muszki na lufie. Krach! Strzał padł. Huk rozległ się daleko po lesie.

Wyskoczyłem z ukrycia mego na pole. Zrazu nic nie widziałem. Potem wydało mi się, że widzę jakąś postać wspartą na rękach, przypadającą do ziemi i znów podnoszącą się w górę. A w tej chwili — co to jest? — dreszcz wstrząsnął ciałem mojem, strach przeszedł po kościach, w ciszy leśnej rozległ się kaszel ludzki, jakby się ktoś dusił.

Nogi zachwiały się pode mną, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Iść tam nie miałem odwagi. Strzelba wypadła mi z ręki, lęk gardło ścisnął, zacząłem biedz jak szalony ku miejscu, na którym bryczka czekała.

W pół drogi ktoś schwycił mnie za ramię.

— Wielmożny paniczu!...

— Co? co to jest?

— Paniczu! — usłyszałem po raz drugi i w blasku błyskawicy poznałem gajowego, który widocznie na odgłos strzału wyszedł na przeciwko, aby mi pomódz w przeniesieniu zwierzę na bryczkę.

Oprzytomniałem. Lecz drżałem ciągle jak w febrze, nie mogąc słowa wydobyć. A stary Marcin zaniepokojony tem dziwnem milczeniem, mrucał niecierpliwie:

— No niechże pan przemówi. Co się stało? Czy pan złe zobaczył. Czemu pan tak leci, jakby co goniło. Pewnikiem pan kozę zabił. Wielmożny będzie strasznie pomstował.

— Marcinie! — wykrztusiłem nareszcie głosem zdławionym — stało się nieszczęście.

— E... zara ta nieszczęście...

Pochyliłem się ku niemu i chwytając go za rękę, szepetem ledwie dosłyszalnym spowiadałem się przed nim:

— Zabiłem kobietę... Tam na grochu... Coś mnie omamiło... Myślałem że rogacz... Leży tam... Boże, Boże! I zaniósłem się płaczem serdecznym.

Marcin milczał przez chwilę, potem poskrobał się po głowie i rzekł z jakąś wściekłą zaciętością:

— A czemu baba włóczy się po nocy!

I znowu milczenie. Tylko w ciszy leśnej rozległo się łkanie moje.

— Paniczu — usłyszałem znowu — a może to nie baba.. Zkądby tu się wzięła... Co innego po kopcach z kartoflami to się włóczy na podzimku i kradną, ale tu na grochu... Ej! pewnikiem jakie omanienie, albo co...

Mówił to jednak bez przekonania z jakimś akcentem niewiary, jakby dla otuchy.

Wreszcie odzyskałem energię:

— Chodźmy ją ratować — rzekłem — to nasz obowiązek.

Zawróciliśmy na miejsce wypadku. Nasłuchiwałem uważnie, lecz nic już dosłyszeć nie mogłem. Było ciemno zupełnie, wszystko zlewało się w jedną czarną masę. Odnalazłem nareszcie chojak i strzelbę porzuconą, potem zwróciłem się ku polu, na którym przed chwilą padła moja ofiara. Przez kilka minut deptaliśmy po grochu naprzóżno. Wreszcie, o kilkanaście kroków coś się ruszyło.

— Tam — szepnąłem.

Gajowy poruszył się żywo, schylił się ku ziemi i nagle zaśmiał się jakimś dziwnym, ironicznym chichotem. A jednak ten chichot brzmiał w uszach moich, jak najcudowniejsza muzyka.

Śmieje się!

Ogarnęła mnie radość szalona. Nadzieja gwałtowną falą rozlała się w duszy. Śmieje się! Śmieje się ciągle... Skoczyłem ku niemu, drżącymi rękami szarpnąłem go za rękaw:

— Co?... Co jest?... Mów!

A on śmiał się coraz głośniejszym i szczerzejszym, zasłaniając osobą swoją jakieś zwinięte w kłębek ciało. Odepchnąłem go, przypadłem do ziemi i poczułem pod rękami ciepłą jeszcze skórę sarnią. Głaskałem ją z radością, szukałem głowy i ścisnąłem rogi. Rogi! Naprawdę rogi!

— Oj! to ci baba z rogami, jakby uła! — zaśmiał się gajowy.

Wyczerpany, usiadłem na sarnie i oddychałem ciężko, ocierając pot z czoła.

Gdy wróciłem do domu i zasiadłem do herbaty, wujenka zaraz spostrzegła, że nie wszystko musiało pójść dobrze, ale ze mnie nic wydobyć nie mogła. Odpowiadałem krótko i skarżyłem się na ból głowy.

Wuj wszedł do kuchni, obejrzał rogowca i rzekł z zadowoleniem:

— Ładna sztuka! A co najważniejsza, że nie nasz. To jakiś przechodni włóczęga. Ale jakżeś ty po takiej ciemnicy mógł strzelać, waryacie! Trzeba było do jutra odłożyć.

Nie mogłem wytrzymać i powiedziałem wszystko. Wuj pykał fajkę i uśmiechał się złośliwie.

— Dobrze ci tak! Będiesz miał nauczkę. Nie strzelaj po nocy, jak raubszyce.

— Ale ten kaszel, wuju, te ręce...

— Głupis! Jedną loftkę dostał w kark, w samą tchawicę, i dla tego kaszlał, a drugą w krzyż więc przysiadł i włókł się na przednich. Ej! myślałem, żeś mędrszy. A tobie byle co w głowie pomiejsza.

Wypuścił kłęb dymu, pociągnął mnie za ucho i śmiał się. A wujenka gderala pocziwie:

— Patrzajcie go, będzie do ludzi strzelał!

Dobrze wam było żartować, wy, drodzy moi, ale ja nikomu nie życzę takiego polowania.

W. R.

NIEFORTUNNA PRZYGODA.

(Dokończenie).

Gożąco mi się zrobiło.

— Więc tu są tacy, co nie tylko słyszeli, że był Słowacki, ale umięją jego na pamięć! — pomyślałem sobie,

Stałem jak na rozżarzonych węglach, a ów pan mówił spokojnym głosem wyjątki z „*Godziny myśli*,” akcentując umiejętnie najpiękniejsze ustępy.

— A tom się zasypa! — pomyślałem sobie, tracąc

najzupełniej pewność siebie, na której, jak wiesz, nigdy mi nie zbywa.

A ów jegomość skończywszy deklamację, oparł się najspokojniej o poręcz fotelu jak o katedrę i mówił dalej:

— Jak się to dziwnie złożyło, wszak to dziś 23 sierpnia, a więc rocznica urodzin naszego poety, tegoż bowiem dnia r. 1809 urodził się Juliusz Słowacki. Słusznie więc, że w dziewięćdziesiątą rocznicę jego urodzin, mój młody kolega, (tu spojrzął na mnie z pod okularów) uczcił dzień ten deklamacją jego utworów, z których oto ja jeden z nich dokończyłem. A tem słuszniej wielkiemu poecie hołd ten się należy, że to nasz ziomek, bo się urodził o kilka mil stąd, to jest w Krzemieńcu. I jeszcze jedno muszę dodać, że właśnie dnia 4 kwietnia r. b. 1899 minęło lat pięćdziesiąt od jego śmierci w Paryżu, gdzie też i na cmentarzu Montmartre pochowano jego zwłoki.

— Należy ci się więc, mój młody kolego — zwrócił się znów do mnie — podziękowanie, żeś nam swoją deklamacją rocznicę tę przywiódł na pamięć, a takeś się niemi przejął, żeś myślał, iż to są twoje utwory.

— A jeżeli to dziś rocznica naszego poety, możeby nam szanowny pan raczył coś więcej o nim powiedzieć — przerwała gospodyni domu, uprzejmie podchodząc do mówiącego.

— My starsi, zajęci codziennymi sprawami, jako *pospolici zjadacze chleba* — mówiła dalej, podkreślając ostatnie wyrazy — posłuchamy chętnie, a młodzież dowie się może jakiego nieznanego szczegółu z życia poety.

Pan w okularach uklonił się i rzekł:

— Tak dużo dziś piszą o Słowackim, a młodzież tak dużo czyta — dodał, spoglądając znów na mnie i akcentując ostatnie wyrazy — chyba więc trudno mi będzie znaleźć coś takiego w życiu poety, o czemby wszyscy państwo nie wiedzieli.

— Posłuchamy chętnie, choćbyśmy już wiedzieli! — ozwała się nieśmiało też sama panienska, która mnie tak chytrze pytała, czyje deklamuję utwory.

Zacisnąłem zęby ze złości, a ów pan rozpoczął swoim spokojnym, lecz nader dźwięcznym głosem:

— Ojciec Juliusza, Euzebiusz Słowacki, był profesorem literatury słynnego niegdyś liceum w Krzemieńcu, a kiedy Julek miał dwa lata, przeniósł się do Wilna, gdzie został mianowany profesorem wymowy i poezji przy tamiecznym uniwersytecie. Zostawił w spuściźnie dzieło „*O wynowie i poezji*.”

Tak więc Julek od niemowlęctwa wychowywał się wśród ludzi nie tylko wykształconych, ale nawet uczonych. Zaledwie jednak ojciec zdołał mu pokazać kilka obrazków i zabawić się z nad wiek rozbudzonym pięcioletnim Julkiem, zmarł, zostawiając ukochanego jedynaka pod opieką matki, Salomei z Januszewskich.

Odtąd matka była wszystkim dla osierconego chłopca. Jej on zawdzięcza najpierwsze nauki, jej rozbudzenie żywej z natury wyobraźni, jej zasady religijne, które, mimo rozmaitych wpływów z jakimi się w życiu spotykał, pozostawiły niezatarte piętno i świeciły jak jasna gwiazda! Kochał on też matkę i cenił. Kiedy miał lat siedm i zaledwie mógł kreślić litery, zasiadł raz do pisania, a gdy zbyt długo się mozolił, matka go zapytała:

— Nad czem tak rozmyślasz?

— Piszę wiersz do mateczki.

Nie wiemy czy rzeczywiście wiersz napisał, lecz w głowie dziecka już powstawała chętka do poezji, a pierwsze natchnienie dała mu ukochana matka. W życiu też całem była dla niego nie tylko matką, lecz najszczerzą przyjaciółką i powiernicą najskrytszych myśli, o czem każdy się może przekonać z listów Julka do niej pisanych. Lecz ten poeta nim począł pisać wiersze a przedewszystkiem drukować i popisywać się z nimi, uczył się bardzo pilnie. Przez cały ciąg pobytu w szkołach, miał stopnie celujące, w uniwersytecie wileńskim skończył z odznaczeniem wydział prawny. A chociaż wena poetycka rozrywała jego duszę,

spełnił jednak życzenie matki i pracował w Warszawie jako zwykły aplikant w Komisji Skarbu. Tu w chwilach wolnych pisywał poezje, dopiero jednak po wyjeździe za granicę oddał się zupełnie poezji. Cechą charakteru Słowackiego był niewysłowny smutek, miewał on jednak i chwile wesołości i pustoty młodzieńczej, które jednak krótko trwały.

Lubił samotność, wtedy oddawał się pisaniu, które w spuściźnie nam zostawił, zachęcając wszystkich do kształcenia się, jak to wyraził w swym testamencie, aby niecić „oświaty kaganiec.”

Mówca skończył, a wszyscy w milczeniu słuchali, czy jeszcze nie dorzuci jakiego słowa.

Wreszcie zaczęto mu dziękować serdecznie, a teraz i panienki, które chichotały podczas mojej deklamacji, zachowały się bardzo poważnie.

Poczęto ruszać się do kolacyi, a ja skorzystałem z za mięszania i zbliżyłem się do owego pana, bąkając coś z nieśmiałością, która mnie nagle opanowała. Lecz on położył rękę na mojem ramieniu i rzekł:

— No, no, zdarza się to młodym, zdarza, lecz panie-taj młodzieńcze, nie strój się nigdy w cudze pióra, bo to niebezpiecznie!

Dobroć jego ujęła mnie niewymownie, że zaś pilnie słuchałem jego mowy, masz najlepszy dowód, że ci ją prawie dosłownie powtarzam

No, i ktoby się był spodziewał, że w takiej dziurze, w takim zapadłym kącie znajdzie się ktoś, co zna na wskroś naszego Słowackiego. A jeszcze wiesz kto był ów pan? Oto właściciel niewielkiego kawałka ziemi, około której sam własnoręcznie pracuje.

Wyjechałem zaraz na drugi dzień z tego zapadłego kąta, obrzydł mi jeszcze bardziej, lecz wiem to dokładnie, że już nigdy nie ustroję się w cudze piórka i zabiorę się z całą sumiennością do nauki.

Twój *Julek*.

ROZBÓJNIK MORSKI.

Opracowała P. Gr.

(Dokończenie).

— Bądź pewny jednak, że ja o tobie nie zapomnę — rzekł zawzięty sternik.

— Nie wątpię o twoich chęciach, ale mimo to nie boję się ciebie.

Na tę sprzeczkę nadszedł kapitan. Hawkins spostrzegłszy go zaraz odwrócił się i odszedł w przeciwną stronę.

— Podejrzynam, że ten człowiek knuje jakiś spisek — zauważył Kain smutnym głosem — chce nam pewno zbudować ludzi.

Z niemałym zdziwieniem całej załogi, Hawkins zajął następnej nocy dawne miejsce swoje przy sterze i zdawał się szybko odzyskiwać utracone siły.

Kilka dni zeszło spokojnie, nikt, z wyjątkiem Francesca nie domyślał się, jakie były dalsze plany kapitana.

— Mamy już bardzo mało wody słodkiej — zameldował Hawkins Kainowi jednego rana.

— Na ile dni starczy? — spytał kapitan.

— Najwięcej na dwanaście.

— W takim razie racze wody zmniejszyć trzeba do połowy.

— Załoga radaby wiedzieć, gdzie obecnie zmierzamy?

— Czy wysłali cię tutaj, aby mnie wybadać?

— Nie określili żądania tego wyraźnie, ale ja sam chcę wiedzieć o celu wyprawy — dodał Hawkins wyzywającym tonem.

— Każ ludziom zgromadzić się na pokładzie — odparł Kain z powagą. — Jako jeden z moich podwładnych dowiesz się o wszystkim razem z drugimi.

— Słyszę — mówił kapitan po chwili do zebranej załogi — że ciekawi jesteście dokąd się teraz udać zamysłam. Oświadczam więc, że mając tyłu rannych na statku, udaję się na dłuższy wypoczynek do wysp Kaickich, gdzie raz już znaleźliśmy bezpieczną przystań. Czy chcecie jeszcze innych jakich objaśnień?

— Tak jest — odezwał się Hawkins — chcemy wiedzieć, jak postanowiłeś ukarać Francesca? On musi być ukarany.

Wielu z podburzonych przez sternika majtków żądanie jego poparło głośnym krzykiem.

— Francesco nas nie zdradził, myśmy, a raczej ty, Hawkinsie, zostawiłeś go na bezludnej wyspie — rzekł Kain. — Czy poczytujesz mu za występki, że starał się ocalić? Sprawiedliwości więc od was, jako wasz kapitan, domagam się dla niego.

— Słusznie, bardzo słusznie — wołała większość majtków — Francesco nie zasługuje na karę.

— Dziękuję wam, moi ludzie — mówił Kain — na dowód mojej wdzięczności, przypadającą mi z prawa część łupu, będącego na statku, rozdzielę między was, jak tylko dopłyniemy do wysp Kaickich.

Wszyscy stronnicy wobec takiego daru odstąpili Hawkinsa, ale ten zawołał:

— Przekupuj drugich złotem twoim, ja nic z niego nie przyjmę, ale się zemszczę. Życie tego chłopca do mnie należy i na nim szukać będę odwetu. Nie powstrzymasz mnie od tego — krzyczał, wygrażając pięścią kapitanowi.

Oburzony temi pogrozkami Kain utracił panowanie nad sobą; porwał Hawkinsa, powalił go na ziemię, a położywszy nogę na jego piersiach, odezwał się do zgromadzonych majtków:

— Osądźcie teraz sami, czy ten człowiek wart jeszcze być sternikiem? Czy godzien żyć z nami?

— Nie, nie! — wołano zewsząd — na śmierć zasłużył.

— Nie nastaję na jego życie — rzekł kapitan — chcę tylko-by opuścił nasz okręt.

Rozbójnicy zgodzili się na to jednogłośnie. Hawkins podniósł się i wolnym krokiem zszedł do kajuty swojej, a załoga innego majtka obrała na głównego sternika.

W kilka dni później zupełny spokój zapanował na „Mścicielu;” postanowienie Kaina podzielenia między towarzyszy łupów swoich, przekonało Francesca o szczerzej poprawie ojczyzna, który, mimo serdecznych stosunków, łączących go teraz z pasierbem, na wszystkie zapytania młodzieńca, pragnącego się dowiedzieć o swojej przeszłości, nazwisku i pochodzeniu matki, odpowiadał wymijająco: — Na te wiadomości będzie czas później.

IX. Porwanie.

„Mściciel” znalazł się niebawem w pobliżu wyspy Portoriko; zarzucono kotwicę o trzy mile od lądu i na żądanie nowego sternika, kapitan wysłał łódź z ludźmi po zapas świeżej wody.

Przypadek zrzucił, że okręt, zaskoczony ciszą, zatrzymał się wprost mieszkania gubernatora. Klara Alvarez wraz z ojcem przypatrywali się z okna statkowi, a młoda dziewczyna, przypuszczając, że to okręt jej narzeczonego, powiewała wesoło chustką i otrzymawszy zezwolenie ojca, pobiegła na spotkanie Edwarda. Dochodziła już do wybrzeża, gdy właśnie z łodzi wysiadali korsarze, ci nie wiele myśląc czy to z obawy zdrady, czy w nadziei wykupu, pochwytili donnę Klarę.

— Co wy za jedni — pytało z przerażeniem dziewczę. —

12



Po Wigilii w pałacu: — śpiewanie kolend.

Puszczajcie mnie ńędznicy; jestem córką gubernatora, który pomści srodze krzywdę jego dziecku uczynioną.

— Córką gubernatora! — powtórzył rozbójnik — tem lepiej, dostaniemy za panienkę duży okup.

Klara krzyczeć zaczęła, ale zatkano jej usta chustką i przeniesiono na łódź, z którą coprędzej odbito od brzegu.

Załoga „Mściciela” uradowała się wielce wiadomością o pochwytceniu młodej donny, a Kain nie śmiał się im sprzeciwić, aby nie budzić nieufności. Kazał tylko sprowadzić brankę do wygodnej kajuty i korzystając z przyjaźniejszego wiatru, popłynął dalej.

Francesco tymczasem usiłował pocieszać nieszczęśliwą Klarę, zapewniał ją, że nie potrzebuje niczego się obawiać i że tak on, jak kapitan, nie dopuszcza, aby wyrządono jej jaką krzywdę.

Biedne dziewczę zalewało się łzami, ale pełne względności obojście Kaina i Francesca uspokoiły ją trochę. Na drugi dzień zwierzyła się, co ją nad brzeg morza przywiodło i dla czego zawiodła się, biorąc jeden okręt za drugi. Kapitan przyrzekł, że nie czekając wieści od gubernatora, gdy tylko wylądują, z własnych funduszków wniesie za nią okup i do ojca ją odeśle.

„Mściciel” nie mógł jednak tak prędko, jak się spodziewano, dopłynąć do zamierzonego celu; w drodze spotkał znowu fregatę wojenną, przed którą musiał uchodzić, a ta pogoń zniewoliła go do zmienienia kierunku. Załoga przytem cierpiała pragnienie z powodu braku wody; trzeba było szukać jej na sąsiednich wysepkach, tak, że dopiero po trzech tygodniach, ścigani ciągle przez śledzący każdy ich ruch okręt, rozbójnicy dopłynęli do wysp Kaickich (Caicos).

W ciągu tego czasu zniknięcie córki gubernatora Portorico nabrało wielkiego rozgłosu; nieszczęśliwy ojciec wpadłszy na domysł, że Klara porwaną została przez korsarzy, wyprawił yacht swój z pismem do admirała angielskiego w Janajce, a żądanie pomocy nadeszło jednocześnie z przybyciem do portu fregaty wojennej, dowodzonej przez Edwarda Templemore, który wracał tam po bezowocnej pogoni za „Mścicielem.”

Wiadomość o porwaniu przez rozbójników narzeczonej, o mało zmysłów nie pozbawiła biednego chłopca; widząc go w takiej rozpacz, admirał dał rozkaz szykowania coprędzej korwety i zaopatrzenia ją w żywność na dalszą wyprawę.

— Bądź dobrej myśli — pocieszał Edwarda — do twego okrętu dodaję jeszcze korwetę. Mam nadzieję, że mi niebawem udzielicie pomyślnych wieści o córce gubernatora, którą zapewne korsarze uprowadzili dla wyludzenia znacznego okupu, więc tem bardziej się nie ośmielą wyrządzić jej krzywdy. Radzę ci tylko, płyn odrazu do wysp Kaickich, bo mam dane, że tam często zawijają korsarskie statki.

Tego samego dnia jeszcze fregata i korweta puściły się w drogę, a nazajutrz dopływały do wysp Caicos, gdzie „Mściciel” stał już w przystani.

— Otóż oni! — wołał Edward, i sygnałami zawiadamiał towarzyszącą mu korwetę o ukazaniu się nieprzyjaciela.

X. Zwycięstwo.

O dwa stopnie geograficzne na północ od wyspy Haiti, leży gromada drobnych wysp Kaickich, prawie niezamieszkałych i służących na początku bieżącego wieku za przytułek rozbójnikom morskim, bo skałami najeżone ich brzegi i znane tylko korsarzom przesmyki, broniły od niespodziewanej napaści okrętów wojennych. Najlepiej obeznany z tą miejscowością był sternik Hawkins, on jeden wiedział, którędy dopłynąć można do jednej z głównych wysp, gdzie w jaskiniach korsarze przechowywali swoje skarby. Ponieważ jednak sternik usunięty był od obowiązków, Kain zastępującemu go majtkowi polecił zwolna i ostrożnie kierować „Mścicielem,” aby mógł szczęśliwie przepłynąć wśród niebezpiecznych raf nadbrzeżnych.

Zwolnienie biegu statku dozwoliło okrętom angielskim dogonić go w chwili, gdy zbliżał się do przystani i tak kapitan jak Francesco ze smutkiem ujrzeli, że nie zdołają uniknąć spotkania i będą zmuszeni śmiertelną stoczyć walkę.

Około 9-ej rano Kain dał rozkaz zarzucenia kotwicy. Francesco zszedł do kajuty, aby uprzedzić donnę Klarę o zaszłych okolicznościach, a wkrótce potem wszedł kapitan, usiadł na ławce i pograżył się w bolesnej zadumie.

— Słuchaj, Francesco — odezwał się po chwili uroczystym tonem — dziś rano, zanim jeszcze ujrzelismy ścigające nas statki, wiedziałem, że przed zachodem słońca los mój się rozstrzygnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Francesco.

— We śnie widziałem matkę twoją, na jej twarzy malowało się pełne smutku współczucie i skinieniem ręki dawała znak, abym szedł za nią.

Młodzieniec nic na to nie odpowiedział, Kain zaś zdjąwszy z piersi płaskie blaszane pudełko, oddał mu je mówiąc:

— Zachowaj to starannie; gdyby przytrafił mi się nieszczęśliwy jaki wypadek, dowiedziałbyś się z tych papierów o pochodzeniu twojej matki i o rzeczywistem nazwisku twojem. Jest tam również wzmianka, gdzie się znajdują należące do mnie skarby, które całkowicie tobie przekazuję. Nabyłem je, przyznając, z krzywdą drugich, ale nikt się o nie upominać nie będzie, a ty z nich dobry zrobisz użytek. Po mojej śmierci znajdziesz pewnie przyjaciół, którzy ci w tem dopomogą. Nie rób mi teraz przykrości odnową i daj słowo, że puszkę powierzoną otworzysz dopiero po moim zgonie.

— Przyrzekam; nie sądzę jednak, abym z tego zapisu kiedy skorzystał — odparł Francesco — jeśli nie polegnę w walce, będę poczytany za korsarza i razem z innymi stracony.

— Dowiedziesz swojej niewinności.

— Wątpię, czy zdołam jej dowieść, w każdym razie niech się dzieje wola Boża!

— Tak, niech się dzieje wola Boża — powtórzył Kain — nie byłbym odważał się słów tych wyrzec przed miesiącem! Teraz trzeba wziąć się do dzieła.

Załoga na pokładzie oświadczyła jednogłośnie, że przed ścigającym ich okrętem należy probować ukryć się w małej, z trudem dostępnej zatoce, wskutek tego podniesiono kotwicę. Kapitan stanął przy sterze i sam sternikowi udzielał wskazówek, mimo to statek raz po raz potraçał o skały i przeprawa z każdą chwilą stawała się niebezpieczniejszą.

— Hawkins zna najdokładniej ten przesmyk niech on nas przeprowadzi — rzekł jeden ze starszych majtków.

— Bob dobrze mówi, niech Hawkins nas przeprowadzi! — zawołało kilku innych — trzeba go tu wezwać.

Po chwili dawny sternik ukazał się na pokładzie.

— Musisz ster objąć na nowo — nalegali towarzysze.

— A jeżeli nie zechcę? — odparł Hawkins wyzywająco.

— To cię prosto z pokładu wrzucimy w wodę — groził starszy majtek — musisz nas ratować, albo sam zginiessz.

— Pogroźek się nie boję, wiecie o tem — mówił eksternik — jedynie przez wzgląd na was towarzysze, widząc niechybną zgubę, zgodzę się to zrobić. Był mi tylko kapitan nie bruździł, bo jemu się zdaje, że na wszystkim zna się najlepiej.

Ożę się marynarzy stanęła po stronie Hawkinsa, a Kain cofnął się w głąb okrętu.

— Zrobim co tylko w mojej mocy — ciągnął dalej sternik z chytrym uśmiechem — ale jeśli statek uderzy o skałę, nie dziwcie się temu chłopcy. Trzeba teraz zawrócić na prawo!

Hawkins wiedział, że ma być porzucony na wyspie i dlatego postanowił okręt korsarski zatopić, choćby zgubę jego miał własnem okupić życiem. W kilka minut po obje-

cju przez niego steru „Mściciel” z całą siłą trzykrotnie uderzył o skałę. Usłyszano złowrogi trzask i woda zaczęła statek zalewać. Wśród rozbójników zapanowała śmiertelna cisza.

— Moi chłopcy — mówił Hawkins — robiłem co mogłem teraz wolno wam, jeśli się spodoba, wrzucić mnie do morza. Nic moja w tem wina; ten oto sprawca waszej zguby — dodał, wskazując na kapitana.

— Kto sprawca rozsądzimy to później — odparł Kain — teraz o ratunku myśleć trzeba. Spuszczaj łodzie, niech każdy zaopatrzy się w broń i amunicję. Bądźcie spokojni; zanim „Mściciel” zatoni, zdążymy wynieść z niego cenniejsze przedmioty.

Rozbójnicy spełnili rozkaz kapitana. Na pierwszą łódź przeniesiono rannych i Klarę Alvarez, podtrzymywaną przez Franceska, który objął nad łodzią komendę.

Ze statków wojennych zauważono bezwzględnie rozbić się o skały „Mściciela” i odpłynięcie załogi na czółnach, postanowiono zatem przeciąć korsarzom drogę do ładu i w tym celu spuszczone łodzie wojenne. Tymczasem druga łódź korsarska, dowodzona przez Hawkinsa, odbiła od „Mściciela. Kain zaś, przekonawszy się, że nikt nie pozostał na tonącym statku, ostatni odpłynął za drugimi.

Gdy pierwsza łódź, wioząca Franceska i Klarę wylądowała, sążni kilkadziesiąt zaledwie dzieliło ścigających od ściganych. Hawkins drugi z kolei przybił do brzegu, ale jednocześnie z pokładu korwety rozległ się strzał armatni, kula ugodziła w trzecią łódź na końcu płynącą, która napelniła się wodą i znikła w głębi morza.

— Zginęli! — zawołał Francesko, stojący na małym wzgórzu obok Klary — zatopili łódź z kapitanem! Ale widzę go jeszcze, zdąży dopłynąć do brzegu, zanim majtkowie angielscy wylądują.

Stało się jak powiedział; Kain walczył dzielnie z unoszącą go falą i płynął do małej zatoki, znajdującej się w pewnej odległości od miejsca, gdzie stali Francesko i Klara. Młody człowiek, niespokojny o los ojczyma, wdrapał się na szczyt skały, z kądem mógł lepiej śledzić bieg wypadków.

Kapitan już był blisko ładu, gdy nagle padł strzał od brzegu i gdy dym po nim się rozszedł, Kain znikł z oczu patrzących.

Francesko zbiegł ze skały, ujrzał u stóp jej przyczajonego Hawkinsa, który w dymiącą jeszcze łufę drugi nabój zakładał.

— Nędzniku! odpowiesz mi za to! — krzyknął młody człowiek oburzony.

— Odpowiem, ale nie tobie! — zawołał Hawkins, odwodząc kurek i strzelając prosto w pierś młodzieńca.

Francesko zachwiał się, postąpił parę kroków i padł u stóp Klary.

— Boże mój — mówiło z płaczem biedne dziewczę — jesteś ranny, kto mnie będzie bronił!

— Uderzenie było silne, nie czuję jednak bólu — odparł Francesko słabym głosem, dotykając ręką serca.

Istotnie, od śmierci uratowała go blaszanka z papierami, zawieszona mu przez Kaina na piersiach; o nią odbiła się kula złoicy. Zaledwie jednak młody człowiek oprzytomniawszy po tym ciosie, zerwał się na nogi, przyskoczył doń znowu Hawkins i rzucił się na swoją ofiarę. Nastąpiła krótka ale straszliwa walka, której koniec byłby niezawodnie fatalnym dla Franceska, gdyby nie przybiła do brzegu łódź z żołnierzami angielskimi. Edward Templemore jak lew rzucił się na nikczemnego Hawkinsa i uderzeniem szpady zmusił go do wypuszczenia z rąk biednego Franceska.

— Obu związać — rozkazał ludziom swoim młody Anglik, potem zaś pobiegł na pomoc narzeczonej, która po przebytych wstrząśnieniach na widok narzeczonego ze wzruszenia o mało nie zemdląda.

— Jakże w porę przybyłeś na ratunek! — mówiła z rozrzewnieniem.

— Któż to jest? — pytał Edward po serdecznem powitaniu, wskazując na Franceska.

— To nie rozbójnik, Edwardzie, to mój obrońca — brzmiała odpowiedź.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się szydersko Hawkins, któremu nienawiść do Franceska podsunęła nowy plan zemsty.

— Pytasz pan, kto on jest. To syn naszego kapitana, on nie miałby być korsarzem!

— Jeśli to syn kapitana — zauważył Edward — dlaczego zastałem was walczących z sobą na śmierć i życie?

— Bo przed chwilą zastrzeliłem jego godnego ojca.

— Edwardzie — przerwała Klara — nie pora teraz na dłuższe objaśnienia, ale zaklinam cię nie wierzyć temu oszczercy.

— Słusznie mówisz, droga Klaro — odparł Edward — nie pora teraz na wyjaśnienia; obowiązek wzywa mnie tam — dodał, wskazując na gromadę, cofających się w głąb wyspy rozbójników. — Przedewszystkiem pragnę bezpiecznego dla ciebie schronienia. Siadaj do naszej łodzi, która odwiezie cię na fragetę i odstawi razem tych dwóch więźniów. Co ciebie się tyczy, młody człowieku — rzekł, zwracając się do Franceska — świadectwo panny Alvarez o twojej niewinności jest dla mnie zupełnie wystarczające. Nie wiem jednak, czy tego samego zdania będą sędziowie, od których los twój zależy.

Po dwugodzinnej bitwie rozbójnicy, pozbawieni przywódców, zmuszeni byli poddać się, a zwycięskie okręty wojenne, uwożąc liczny zastęp jeńców i odnalezioną szczęśliwie córkę gubernatora Portoriko, popłynęły z tryumfem do Port-Royal na Jamajce.

XI. Przed sądem.

W tydzień po opisanych wypadkach pięćdziesięciu kilku pozostałych jeszcze przy życiu korsarzy wraz z Franceskiem stawionych zostało przed sąd przysięgły w Port-Royal. Po wysłuchaniu zeznań świadków, sędzia przewodniczący zwrócił się do podsądnych z zapytaniem czy mają co do powiedzenia na swoją obronę. Wówczas wystąpił Hawkins, który nie mając nadziei uniknięcia zasłużonej kary, pragnął niedopuszczyć, aby Francesko został niewinny. O śmierci drugiej ofiary swojej zemsty był przekonany, a przekonanie to dzielili wszyscy, choć ciała kapitana nie znaleziono. Przewrotny sternik zeznawał tedy, że zmuszono go wbrew woli do służby na statku korsarskim Kaina i że syn kapitana, Francesko od najmłodszych lat brał udział w napadach i grabieżach. Jemu, Hawkinsowi — mówił dalej — życie rozbójnicze tak zbrzydło, iż usiłował zbuntować część załogi, aby występnego dowódcę oddać w ręce władz angielskich, ale Murzyn nazwiskiem Pompejusz odkrył spisek i doniósł o tem synowi kapitana; ten zaś przez zemstę strzelił do niego i zranił w ramię, co inni korsarze mogą poświadczyć i czemu sam Francesko nie zaprzeczy.

Gdy Hawkins ukończył swoje zeznanie, w sali zapanowało ogólne milczenie. Dzień miał się ku schyłkowi i jedna część komnaty pogrążona już była w zmroku; światło padało tylko na ławę sędziów i oskarżonych, z której podniósł się Francesko. Szlachetna jego postawa i dzwigny głos pełen szczerości, budziły współczucie publiczności.

— Panowie — odezwał się młody człowiek — nie znam ustaw prawnych i nie umiem wymownie się bronić. Powiem tylko szczerą prawdę: nigdy nie rabowałem cudzej własności i do rabunku miałem wstręt wrodzony; nigdy nie brałem udziału w napadach, a gdy mogłem, usiłowałem ratować nieszczęsne ofiary. Dlatego byłem nielubiony przez korsarzy i niejednokrotnie życie moje było w skutek tego w wielkiem niebezpieczeństwie. Człowiek, który mnie przed chwilą oskarżał, wyróżniał się właśnie najgroźszymi okrucieństwem i największą chciwością w grabieży. Zeznanie jego są fałszywe; z ust samego kapitana dowiedziałem się

że nie jestem jego synem; a przed swą śmiercią oddał mi te, oto papiery zapieczętowane w blaszanym pudełku, mówiąc że z nich dowiem się o prawdziwym mojem pochodzeniu i o przeszłości mojej matki.

Gdy to mówił, szmer jakiś, jakby bolesne westchnienie rozległo się w głębi sali.

Młodzieniec w krótkich słowach skreślił smutne dzieje życia swego. Prawda brzmiała w jego głosie, niewinnością tętnęło jego oblicze. Sędzia jednak z obowiązku urzędu swego przypomnieć musiał, że młody człowiek ujęty został wraz z korsarzami, więc zeznania swoje dowodami poprzeć musi.

— Jakież dowody mej niewinności przedstawić mogę? Świadeństwo korsarzy jako współwinnych nie ma znaczenia. Czyż na obronę moją umarli z grobu powstaną? Może choć młoda osoba, którą strzegłem przed rozbójnikami, przemówić za mną zechce?

— Ona właśnie w tym celu przybyła — odezwał się głos mężki i przed sędziów wystąpił Edward Templemore, prowadząc pod rękę narzeczoną swoją. Donna Klara gorąco broniła sprawy Franceska; opisywała jego szlachetne względem niej zachowanie na statku, chwaliła jego dobroć i bezinteresowność i przytoczyła ostatnią rozmowę jego z Kainem. Zeznania te silne na słuchaczach wywarły wrażenie. Gdy skończyła, Templemore zwrócił się do sędziów z prośbą, aby mu wolno było podsądnemu zadać jedno pytanie. Otrzymawszy pozwolenie, pokazał młodzieńcowi Pismo Święte i książkę do nabożeństwa i rzekł:

— Książki te znalazłem wśród szczątków rozbitego okrętu korsarskiego. Zechciej mi powiedzieć, czy istotnie do ciebie należą, jak mnie moja narzeczona upewnia.

— Tak jest, to moja własność — odparł Francesko.

— Radbym wiedzieć, jakim sposobem do nich doszedłeś? — badał Templemore.

— Jedyna to pamiątka, jaką mam po matce; ona się na niej modliła i ja w niej czerpałem pociechę. Oddaj mi pan tę książkę — prosił Francesco.

— Dobrze, ale pierwszej pozwól, że dla stwierdzenia pewnych poszlak, odpieczętuję zostawione ci przez kapitana papiery — nalegał Templemore.

— Na to zgodzić się nie mogę — tłumaczył Francesko; — śmierć Kaina, jakkolwiek prawdopodobna, nie jest jeszcze stwierdzoną, ja zaś dałem mu słowo, że dopiero po jego zgonie papiery te odpieczętuję.

— Czy zastanowiłeś się, jak zgubne następstwa takie postanowienie mieć może? — odezwał się sędzia — bez stanowczych dowodów twego pochodzenia, twej niewinności, zostaniesz skazany na śmierć razem z innymi korsarzami.

— Nawet pod grozą utraty życia słowa mego nie zlämię — odpowiedział szlachetny młodzieniec.

Po raz drugi ciężkie westchnienie rozległo się w ciemnym rogu sali, a sędzia rzekł uroczystym tonem:

— Przystąpimy więc do wydania wyroku na Franceska, syna kapitana korsarskiego i jego towarzyszy.

— Wstrzymaj się pan — zawołał Edward — on nie jest synem Kaina, to mój brat Franciszek Templemore. Oto pierwsze litery nazwiska matki mojej i herb naszej rodziny odcisnięty na książkach; reszty dowiemy się z tych papierów.

— Na ich odpieczętowanie zezwalam już teraz — dodał Francesco, któremu przed chwilą niepostrzeżenie jakiś nieznajomy wsunął w rękę małą karteczkę, a na niej ze zdumieniem młodzieniec wyczytał te słowa:

„Zwalniam z przyrzeczenia, odpieczętuj papiery; uniknąłem śmierci, czekam cię po raz ostatni wieczorem na brzegu przy łodziach. Nie zdradzaj mnie!

Kain.

Otworzywszy pudełko, Francesco przedewszystkiem wyjął akt chrztu dwóch braci bliźniąt, Edwarda i Franciszka Templemore, urodzonych w Indyach. Prawda słów jego została stwierdzona.

Po ogłoszeniu wyroku śmierci na Hawkinsa i jego towarzyszy, gdy skazanych wyprowadzano do więzienia, drzwiami wychodzili uszczęśliwieni z odnalezienia się bracia, a donna Klara obiecywała przyszłemu szwagrowi, że wraz z Edwardem starać się będą najtkliwszem przywiązaniem i troskliwością serdeczną nagrodzić mu ciężkie przejścia jego dzieciństwa i młodości.

Wieczorem Francesco, stosownie do otrzymanego wezwania, stawiał się na wybrzeżu i zastał tam kapitana gotującego się do drogi.

— Widzę cię po raz ostatni w życiu — mówił Kain smutny ale spokojny — zostawiam ci wszystkie skarby, abyś przez zakładanie ochronek, szkół i szpitali, przychodząc z pomocą potrzebującym i nieszczęśliwym, choć w części nagrodził wyrządzone przezemnie krzywdy.

— Ja wracam, jako ubogi pokutnik i misionarz, w te same strony, które były widownią mych nieprawości. Będę ratował bliźnich w niedoli i strzegł ich od złego, a może Bóg widząc szczery żal i skruchę moją, ulituje się nademną i zasługi biednego misionarza przyjmie na zmazanie winy dawnego rozbójnika morskiego.

Odtąd nie słyszano już nigdy o Kainie.

Francesko wrócił do Anglii, tam poświęcił się sprawom oświaty i dobroczynności, zwłaszcza sprawie zniesienia niewolnictwa. Raz tylko na rok pozwala sobie na tydzień wytchnienia odwiedzając brata swego Edwarda Templemore, który żyje z żoną szczęśliwie i wesoło wśród gromadki małych dzieci.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na rok 1900 dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

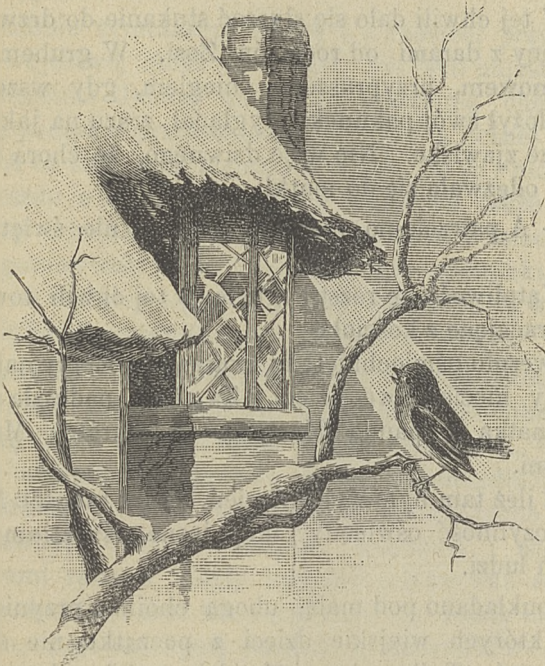
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Hieronim Wespazyan Kochowski przez prof. R. Plenkiewicza (z ryc.) — Mój pierwszy rogacz (z ryc.) — Niefortunna przystępna przez Dąbrowę. — Rozbójnik morski, opracowała P. Gr. — Po Wigiliu w pałacu: śpiewanie kolend (ryc.) — Dodatek: — Prośba ptaszka (z ryc.) — To dla Dzieciątka Jezus. — Gdzie Julcia? Z prawdziwego zdarzenia. — Rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Od Redakcyi.

WIECZORY RODZINNE

To dla Dzieciątka Jezus.

(Dokończenie).



Prośba ptaszka.

— Ach, głodny jestem!...
Mróz mnie przenika
I wiatr przez drobne pióreczka,
Nigdzie ciepłego
Nie mam kącika
I nigdzie choćby ziarneczka...

Bo sroga zima,
Śnieg, lód dokoła,
A z twardej jak kamień ziemi
Cóż moja nóżka
Wyrzebać zdoła?
Co zrobię siły słabemi?

Więc w mej niedoli
Stukam w okienko,
U ludzi szukam pomocy;
Wspomóż mię, proszę,
Wspomóż, panienko,
Bo już nie przetrwam tej nocy!"

Tą rzewną skargą
Małej ptaszyny
Wzruszona dobra Irenka —
Odtąd codziennie
Chleba kruszyny
Sypie u swego okienka.

— Choruje i choruje — odrzekł chłopiec ze smutkiem — a matula płacze.

— Powiedz jej, że przyjdziemy odwiedzić ją w Święta — rzekła młoda panienska, a dzieci powtórzyły za nią: przyjdziemy.

Chłopiec skłonił się, o ile mu na to pozwalał dźwigany ciężar i pospieszył drogą, prowadzącą przez pole.

Lekka śnieżna chmura zakryła w tej chwili słońce, więc i nasi spacerowicze zawrócili się też do domu.

Gdy czworo młodszych złączywszy się w jedną gromadkę, rozmawiali o czymś z wielkim zajęciem, Zosia wzięła pod rękę pannę Martynę i szła przy niej w milczeniu.

Zamyśliła się może o choince, którą w domu pewno przybiera mama, a może i o tem Dzieciątku, które płakało z zimna, choć nad niem świeciła taka jasna gwiazda.

Za powrotem do domu, dzieci zaraz obstały mamę, opowiadając na przemiany o wrażeniach ze swej przechadzki, a potem zaczęły rozpytywać o przygotowania świąteczne. Zosia tylko była mniej rozmowna.

Dopiero gdy mama usiadła z jakąś robotą przy stoliku, dziewczynka zbliżyła się, mówiąc zrazu z pewnem zakłopotaniem:

— Prawda, mameczko, że kto jest bogaty, powinien podzielić się z biednym, dlatego, żeby biednemu było lepiej?

— Zapewne, moje dziecko, wspierać ubogich jest naszym obowiązkiem i zarazem uciechą.

— Bo my jesteśmy bogatsi.

— Tak jest; i dlatego mama wasza pomyślała nie tylko o was, ale i o dzieciach, którym rodzice nie mogą dać wszystkiego, co im potrzebne. Widzisz te rzeczy złożone na krześle? to są ciepłe sukienki, które uszyłam sama dla dziatwy Mateusza.

— O! dobra, kochana mameczka — zawołała Zosia, całując ręce matki — a ja, wie mama co?

— I cóż takiego?

— Ja — rzekła dziewczynka z bijącym sercem — umyśliłam darować dla chorej Magdzi moją pościel.

— Ciesz się mnie to, moje dziecko — odpowiedziała matka — że masz tak dobre serce — ale tego, co mówisz, zrobić nie można.

— Nie można?

— Wszak pragniesz darować biednej dziewczynce rzecz swoją, prawda?

— Tak, mamo.

— Ale rzeczy, które wspomniałaś, są darem twoich rodziców. Kołderka twoja, poduszka, dane ci są do użyt-

ku i wygody, ale nie są twoją własnością i robiąc z nich podarunek, dałabyś od nas, nie od siebie, gdyż musieliśmy w to miejsce, sprawić ci nową pościel.

Zosia spuściła oczy. Nie mogła zaprzeczyć słuszności słowom matki.

— A moje zabawki, mamó, wszak te do mnie należą?

— Tak, bezwątpienia, temi możesz rozporządzać.

— Więc dobrze — odrzekła uradowana dziewczynka — mam ich tyle z przeszłorocznej gwiazdki, podzielię się niemi z dziećmi Mateuszowej, a najpiękniejszą dam Magdzi, bo ona chora.

I nie tracąc czasu, dziewczynka pobiegła utworzyć swą szafkę. Tu, obok jej rzeczy, znajdowały się we wzorowym porządku przechowane wszystkie zabawki. Jedne z nich dostała na imieniny, drugie dawniej przy choince.

Szybko zdjęła z półki blaszaną kuchenkę, potem zgrabny wózek zaprzężony w konika, pasterza z krówką i małe cymbalki.

Zabawki te po kolei odkładała na stół. Ale, że jak wiemy, miała dobre serce, rzuciła jeszcze okiem na półki otwartej szafki. Wzrok jej zatrzymał się na jednej, gdzie stała ulubiona jej lalka. Zosia bardzo ją lubiła i stroiła, pielęgnowała, kołysała, a teraz niedawno uszyła jej ciepły paltołek i mufkę. Patrząc w tej chwili na jej uśmiechniętą twarzyczkę, dziewczynka zamyśliła się głęboko, tak, jak gdyby patrzyła na coś innego. Ale cóżby mogła widzieć za taką śliczną lalką? Chyba to ubogie Dzieciątko w żłobku, albo może chorą dziewczynkę w chacie Mateusza. Ważyły się w jej sercu uczucia jakieś, bo, co wyciągnęła rękę, to ją cofnęła napowrót. Policzki jej się zarumieniły i oczy zaszyły łzami.

Ale widać nad własnym upodobaniem przemogło inne uczucie, bo prędko zdjęła z półki ulubioną lalkę, pogłaskała jej włoski, poprawiła sukienkę i kładąc przy innych zabawkach na stole, wymówiła półgłosem: to dla Dzieciątka Jezus.

W tej chwili weszła do pokoju panna Martyna, a gdy jej Zosia powiedziała z wesołym uśmiechem o swoim postanowieniu, bardzo pochwaliła myśl tak piękną.

Ale zanim zabawki zostały zapakowane dla odniesienia do chaty Mateusza, panna Martyna pospieszyła, aby pomówić parę słów z mamą Zosi.

— Biedne dziecko — rzekła — robi wielką ofiarę; stojąc we drzwiach przez chwilę, widziałam ją wahającą się i wzruszoną. Czy nie lepiej byłoby wyperswadować jej oddanie lalki, która jest najulubieńszą jej zabawką?

Matka zastanowiła się nieco, a potem rzekła do panny Martyny:

— Nie pozbawiajmy Zosi szczęścia, jakie sobie zdobyła, przezwyciężając siebie; to pierwsze pokonanie samolubstwa ułatwi jej niejedną walkę, jaka ją w życiu czeka.

Bez żadnej więc przeszkody zapakowano zabawki w duże pudło razem z nowymi sukienkami.

Na drugi dzień rano umyślili wszyscy, wracając z kościoła, wstąpić do chaty ubogiego bednarza. Jednocześnie służący miał przynieść paczkę z podarunkami dla ubogiej diatwy.

Tegoż poranku, gdy dzwon uroczysty wezwał wiernych do świątyni i Mateusz z dziećmi podążył na nabo-

żeństwo. Matka odejść nie mogła; musiała pilnować chorej dziewczynki. Tylko sercem brała udział w modlitwie, gdy siedząc przy łóżku małej, śpiewała słowa kolendy:

„Anioł pasterzom mówił:
Chrystus się wam narodził;”

W tej chwili dało się słyszeć stukanie do drzwi. Był to służący z darami od rodziców Zosi. W grubym ubraniu zimowem, przypruszony śniegiem, gdy wszedł do izby i złożył swój pakunek, wyglądał zrazu na jakieś tajemnicze zjawisko. Nic więc dziwnego, że chora dziewczynka odezwała się do matki:

— A patrzcie-no matulku, czy to nie święty Mikołaj?

Wątpliwość tę rozstrzygnęło w tej chwili towarzystwo wracające z kościoła.

Z wesoło uśmiechniętymi twarzami wbiegły najpierw do chaty niecierpliwie dzieci. Za niemi nadeszła niebawem matka z panną Martyną. A wkrótce Mateusz z dziećmi.

O! ileż tam było wykrzyknień, ile łez radości! Miłość i dobroczynność oświeciły jakby jasnym światłem chatę ubogich ludzi.

Poukładano pod małą, ubogą choinką przyniesione dary, których wiejskie dzieci z początku nie śmiały się dotknąć. Tylko chora Magdzia wzięła odrazu lalkę z rąk Zosi. Wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma, a potem położywszy ją przy sobie, spojrziała na Zosię z wdzięcznym uśmiechem.

— Czyś się ucieszyła bardzo tą lalką? — zapytała, zbliżając się do niej panna Martyna.

— O i jak! i jak! — odrzekła mała chora.

A gdy się potem zajęto przymierzaniem dzieciom nowych ubrań i dla powiększenia ogólnej radości, zapalono parę świeczek na choince, Magdzia usiadła na posłaniu i piastując lalkę, śmiała się do niej i mówiła:

— Jak pójde, to pokażę Aniołom i panu Jezusowi moją lalkę, moją lalkę taką śliczną, taką dużą, taką złotą moją lalkę! Czy poszła, jak mówiła, czy też Pan Bóg zostawił ją rodzicom, tegośmy się nie dowiedzieli, ale sprawiona biednemu dziecku radość, pozostawiła Zosi na całe życie miłe wspomnienie.

J. G.

Gdzie Julcia?

Z prawdziwego zdarzenia.

Ach, kiedyż już ten dzwonek usłyszymy? ja już nie wytrzymam!

— I ja także nie.

— I ja z niecierpliwości zjadłem wszystkie osmażane kasztany, jakie były w kloszu.

— Szczęśliwi Adaś i Julcia! — ich to odrazu puścili do drzewka!

— Ej, jabym nie chciała być na ich miejscu — taki akademik jak Adaś, to się pewnie już drzewkiem nie cieszy.

Ta rozmowa toczyła się po wieczery, w jadalnym pokoju państwa Zaborskich, przed zamkniętymi drzwiami salonu, do którego wrywały się drżące z ciekawości serduszka całej dzieciarni.

W salonie tymczasem starsi, t. j. rodzice, przybyli zdaleka wujostwo, Adaś akademik, ich syn najstarszy i piętnastoletnia Julcia, zaświecali olbrzymią choinkę i układali podarki, przeznaczone dla małej a licznej gromadki. A co tam tych podarków było! Bo to i rodzice chcieli każde z dzieci obdarzyć i wujostwo także nie przyjechali z próżnymi rękami — a wreszcie i dzieci same, przygotowywały sobie wzajem drobne upominki, oddając je w wielkiej tajemnicy pod opiekę Julci, która podjęła się ładnie wszystko pod drzewkiem ułożyć.

Nareszcie! Adaś otworzył drzwi, a młoda gromadka z krzykiem radości wpadła do pokoju — choinka gorzała setką świec, których blask odbijał się, dwoił, troił, w dwóch wiszących naprzeciw siebie zwierciadłach — dzieci skakały naokoło, odszukiwały przeznaczone dla siebie skarby, ścisnęły rodziców, wujostwa i znowu z okrzykami radości biegły oglądać, pokazywać sobie wzajem podarki. Jakoś tak się złożyło, że każdy dostał to właśnie, czego najwięcej pragnął, a nawet dla dwojga najstarszych, co już niby wyrosli po nad drzewko i gwiazdkę, w ostatniej chwili znalazły się, niewiadomo jakim cudem, pod choinką śliczne podarki. Adaś dostał rapiery (rodzaj pałasza) rękawiczki i drucianą maskę do fechtunku, o których od dawna już marzył — a Julcia prześliczne dzieło Tarnowskiego o Matejce, z ślicznymi ilustracjami.

Gdy się pierwszy wybuch radości nieco uspokoił pan Zaborski sam zaintonował: „W złości leży...” wszyscy obecni przyłączyli swe głosy i pieśń poważna, a zarazem wesoła, przejmująca od wieków wszystkie polskie serca słodkim wzruszeniem, zabrzmiała chórem takim zgodnym a silnym, że aż na ulicy, nieliczni o tej godzinie przechodnie, zatrzymywali się i nasłuchiwali gdzie to tak ładnie śpiewają.

Po pierwszej kolendzie nastąpiła druga i trzecia: tymczasem świeczki zaczynały się już dopalać na zielonych gałązkach; trzeba je było gasić, z czego powstało dużo śwędu i dużo śmiechu, bo okazało się, że Adaś, choć najwyższy, nie umiał jednak tak dobrze zdmuchiwać świeczek, jak o wiele niżsi Kazio i Staś, którzy podskakiwali do najwyższych gałązek.

Załatwiwszy się z tem ważnym zadaniem, młodzież zadecydowała, że trzeba spróbować szczęścia w loteryjkę — przeszli zatem wszyscy, starsi i młodszy napowrót do jadalni i obsiedli dokoła długi stół, z którego tymczasem zdjęto już nakrycie od wigilijnej wieczery.

— A kto będzie ciągnął numerą? — zapytał Kazio.

— Naturalnie, że Julcia — przecież ona zawsze to robi.

Julcia?... wszyscy obejrzeni się dokoła i w tej chwili dopiero spostrzegli, że Julci niema przy stole. Nikt nie wiedział kiedy i gdzie się podzwała, tylko mała Ańdzia oświadczyła, że już i w czasie koendowania nie było jej

pewnie, bo nikt „cienko” nie śpiewał. Julcia miała nadzwyczaj wysoki głos, a u Ańdzi nazywało się to cienkiem śpiewaniem.

— Idź i zobacz co robi Julcia i czemu nie jest z nami — rzekła p. Zaborska, zwracając się do średniej swej córki, Maryni — może głowa ją rozboleła, bo wczoraj poszłyśmy spać bardzo późno a dziś przez cały dzień nakręciła się dosyć przy gospodarstwie.

— O, powiedz jej, niech prędko przyjdzie bawić się z nami! — zawołały chórem wszystkie dzieci, które uznawały jednomyślnie, że zabawa tylko wtedy idzie prawdziwie dobrze, gdy Julcia obejmie jej ster.

Marynia znikła, a po upływie pięciu minut wróciła sama, bez Julci, z minką trochę tajemniczą.

— Gdzież jest Julcia? co robi? — zabrzmiały dokoła pytania.

— Julcia teraz nie przyjdzie — odparła Marynia wymijająco.

— Dlaczego nie przyjdzie?

— Zakazała mi mówić; przyjdzie, ale trochę później.

— Maryniu — odezwała się p. Zaborska — wiesz dobrze, że nie lubię tych tajemniczych minek; niespodzianki gwiazdkowe już się skończyły, więc proszę cię, powiedz, co robi Julcia?

— No, to powiem, kiedy mama każe: Julcia obciera naczynia w kuchni! — Kasia myje a Julcia obciera, bo kucharka powiedziała, że się bardzo zmęczyła gotowaniem wieczery, głowa ją boli i położyła się spać, a Kasia znowu chciałaby prędko skończyć, żeby choć na chwilę pobeżać jeszcze do swoich rodziców i przełamać się z nimi opłatkiem — więc Julcia jej pomaga, żeby prędzej skończyła.

Wytlómaczenie nieobecności Julci zrobiło wielkie wrażenie na młodych słuchaczach — w pierwszej chwili wszyscy chcieli gwałtem iść jej pomódz — ledwie im zdolano wyperswadować, że przy tak licznym udziale pomocników, naczynia byłyby prędzej jeszcze potłuczone niż poobcierane. Zresztą Julcia nie życzyła sobie, aby ktokolwiek wiedział o jej postępkach i pani Zaborska nie pozwoliła też dzieciom zwracać się do niej z żadnymi uwagami, gdy powróci do salonu. Po gorętszym tylko niż zwykle uścisku matki na dobranoc, domyśliła się Julcia, że tajemnica jej została zdradzoną.

Od dnia Wigilii, Kasia, nie nazywała już nigdy Julci inaczej jak „swoją złotą panią.”

Irena Mrozowicka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 50.

Łamigłówki kryształowej:

			G			
			b	u	k	
		P	o	t	o	p
	M	a	r	e	n	g
G	u	t	e	n	b	e
	I	z	a	b	e	l
		K	i	e	ł	b
		a	r	a		
						g

Szarady: U — jej — ski.

Zagadki: Buda.

Łamigłówki w kwadracie:

O R A N I E
R a m s e s
A p u l i a
N e a p o l
J o w i s z
A n g o r a

ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Szarady 1-rj: Pa — ster — ka. 2-rj: Ba — ka — lie.

Skrzynka do listów.



Dla biednych dzieci na Święta, złożyły: **Jania W.** 1 rub. **Kazia, Hela i Anđzia Mal.** rub. 1 kop. 50.

Rusatce i Świteziance, nagrody i zaginione numeru wysłały. Legendy litewskiej o kukulce Ludwika Ż. warto się nauczyć.

Hożej Radomiance, nagroda posłana. Na przyszły rok będziesz mogła należeć do wszystkich konkursów, z wyjątkiem konkursu kaligrafii, który się ogłasza dla młodszych czytelników. Zapomniałaś włożyć do swego listu marek.

P. Kat. Czarn. Żądany tyle razy numer wysłały. Zwykle czynimy to zaraz po otrzymaniu listu, a dla czego względem niej nastąpiła taka zwłoka, nie rozumiemy i przepraszamy.

Dobre rozwiązania łamigłówek, szarad i zadań nadesłali: **Nacia i Pola Szw., Tadeusz Brau., Jamba i Czarny rycerz**, a łamigłówki swego układu: **Płacząca Brzózka, Szałwia, Jaguar, Anie-la C., i Kondor królewski.** Ale **Kondor**, który tak dobrze układa arytmogryfy i inne zadania, mógłby się zdobyć na coś świeższego; podobne do dwóch ostatnich wielokrotnie już drukowaliśmy.

Pensyonarce. Prenumeratę wskazaną w każdym numerze, można przesłać bez żadnych dopłat wprost do Redakcji, listownie lub przekazem, byle nie w markach, bo tych nie możemy zużytkować.

Cieszę się, że **Halinka S.** nareszcie do mnie napisała. Twoja imienniczka, może krewna z okolic Poniewieża, otrzymała w roku zeszłym nagrodę za wypracowanie. Jako premium za rok bieżący i przyszły, będziesz mogła wybrać dwie lub trzy książki, których spis podamy w N-rze 1-ym. O nauczycielce pomyśle, choć nie mogę obiecać stanowczo, że moje pośrednictwo będzie miało skutek. Pozdrowienie serdeczne dla ciebie i twego rodzeństwa, pisujcie do mnie.

Sprawiłaś mi prawdziwą niespodziankę **Sarenko z Sokoła**, bo z twego polecenia otrzymałam z Paryża śliczną kartę pocztową z widokiem wieży św. Jakóba i ulicy Rivoli, bardzo ładnie odrobionym. Jest ona dla mnie podwójnie miła, bo powiększyła moją kolekcję i zarazem świadczy o serdeczności mojej korespondentki, której przyszedł na myśl tak wdzięczny sposób zrobienia mi przyjemności. Dziękuję ci za to wielokrotnie i tobie wdzięczną jestem, **Realisto**, za obietnicę przysłania mi kart pocztowych. Wybór zostawiam twojemu gustowi, a sądząc po papierze, nie zawiodeę się na nim.

Dziwię się, że listek **Szałwii. Płaczącej Brzózki, Szarotki i Władzia**, datowany 2 listopada, doszedł mnie dopiero teraz. Z wiadomości o waszych postępach jestem bardzo zadowolona. Lato spędziłam tam, gdzie Szałwia i Władzio. Adresu pana Um. dostarczyć możemy. Pisujcie do mnie częściej.

Neci i Poli Szw. (przecie jesteście siostrzyczkami) odpisałam w poprzednim numerze, czekam dłuższego od was listu.

Z radością powitałam list twój, **Azyatko**, bo myślałam, żeś o mnie zapomniała. Czyż rzeczywiście tak trudno zabrać ci się do pisania, masz tak łatwy styl, że nie chce mi się temu wierzyć. Nie przypuszczałam, że okolice Aschabadu są tak malownicze. Ja znowu spędziłam lato w twoich okolicach rodzinnych. Listy **Jun-ka**, które cię tak zajmują, będziemy pewno otrzymywali od czasu do czasu. Pamiętaj, pisuj do mnie często i długo.

Wesoły twój liścik **Kazio** oddano mi w tej chwili, gdy już muszę zamykać moją korespondencję do tego numeru, kiedy tak tak lubisz szperać w „Skrzynce do listów,” to znajdziesz w numerze noworocznym dłuższą odpowiedź dla pewnej panny **Kazity** wszędobylskiej. Czyś podobna do fotografii na liście?

Nijance. Wiersz „**Barza**” za mało obrazowy, w każdym razie odpowiedni tylko na porę letnią.

Ninie Kom. Zaginione numeru wysłaliśmy, ale prosimy zawsze o podawanie przy reklamacjach dokładnego adresu.

Tak mi się dziwnie wydaje, że za tydzień już zmieni się w dacie roku cyfra wieku 8 na 9, mam nadzieję, że zmiana ta nie wpłynie na serdeczne stosunki, łączące was wszystkich, kochani korespondenci i korespondentki, z

oddaną wam

Juskótką.

Od Redakcji.

Nie chcąc zaczynać, dla dogodności naszych prenumeratorem, w ostatnim numerze tegorocznym powieści **Teresy Jadwigi**, „**Pojednani**,” zamiast dodatku powieściowego powiększamy o pół arkusza numer główny, co umożliwia dokończenie „**Rozbójnika morskigo**” bez przenoszenia go na rok następny.

Oprócz powieści, zapowiedzianych w N-rze 46 mamy już w tece naszej powieść autorki **Jana Niewdzyda Z. Morawskiej**, tym razem nie historyczną, lecz obyczajową p. t. „**Paniczyk**.”

MAGAZYN DZIECIĘCY

Janiny.

w **Warszawie Marszałkowska Nr. 151.**

Poleca w wielkim wyborze dla dzieci: **Sukienki, Palta, Garnitury, Żakiety, Garnitury do Chrztu, Koszule, Kalesony, Skarpetki, Pończoszki, Pantuski, Kołnierzyki, Mankiety, Czapki i Kapelusze, słowem wszelkie ubrania dziecięce.**

Obstalunek przyjmuje ze swoich i powierzonych materiałów. Towar wyborowy, wykończenie akuratne.